

# ANNA GERMAN

TAŃCZĄCA  
EURYDYKA

WE WSPOMNIENIACH



ZEBRAŁA I OPRACOWAŁA MARIOLA PRYZWAN



## IRMA BERNER

Matka Anny German

Gdy miałam sześć, może siedem lat, matka opowiedziała mi o naszym pochodzeniu. Dowiedziałam się wówczas, że ojczyzną moich przodków była Fryzja, prowincja w północnej Holandii, skąd protoplasta rodu po kądzieli przybył do Rosji jako emigrant około 1850 roku. Mój prapradziadek – zamożny hrabia Johan Friesen, menonita – opuścił Holandię wraz z trzema synami. Czwarty syn pozostał we Fryzji, by zarządzać gospodarstwem i dbać o konto bankowe. Niestety przegrał cały majątek w kasynie. Prapradziadek, dowiedziawszy się o tym, miał wyrzec słowa: „Teraz nie ma dla mnie powrotu i nie jestem już hrabią”.

Na szczęście prapradziad przywiózł do Rosji trzynaście wozów najszlachetniejszych, bardzo cennych nasion, sadzonek kwiatów i drzewek, niemały dobytek ruchomy oraz ludzi, których zatrudniał w swoim majątku. Mógł więc upowszechnić wysoko rozwiniętą holenderską kulturę ogrodniczą.

Przodkowie rodziny po mieczu także byli holenderskimi emigrantami, ale o ich przybyciu do Rosji w iem znacznie mniej.

Dzięki opowieści mamy zrozumiałam, dlaczego w domu rozmawiamy nie po rosyjsku, lecz po holendersku.



Rodzice Anny – Irma i Eugeniusz

Rodzice [Anna i Dawid Martensowie – przypis autorki; wszystkie przypisy w nawiasach kwadratowych pochodzą od autorki] mieszkali w założonej przez Holendrów w 1863 roku kolonii Wielikokniażeskoje, w obwodzie kubańskim, niedaleko Niewinnomyska. W naszej kolonii chętnie osiedlali się także ludzie innych narodowości, zwłaszcza Niemcy, Polacy i Rosjanie. Prawdopodobnie zachęcał ich do tego porządek, dostatek i dobra organizacja życia pracowitych mieszkańców. W Wielikokniażeskoje i okolicach mieszkali, obok menonitów i prawosławnych, także adwentyści oraz katolicy. Wszyscy ci ludzie żyli zgodnie, niezależnie od narodowości i wyznania, szanując i tolerując się wzajemnie. Z upływem lat zmieniał się i zacierał pierwotny holenderski charakter kolonii.

Nadszedł rok 1934. Przeniosłyśmy się [z matką i siostrą] do odległej o tysiące kilometrów, położonej na wschodnich rubieżach Uzbekistanu F ergany, gdzie odbywał służbę wojskową mój brat Wilmar. Zostałam zatrudniona w szkole powszechnej w pobliskiej miejscowości Czimion, niedaleko skąd rozciągał się pola naftowe.

W Nieftiennych Promysłach pracował jako księgowy mój przyszły mąż [Irma Berner, z domu Martens, i Eugeniusz German nigdy nie byli formalnie małżeństwem] Eugeniusz German [Eugen Hörmann]. Urodził się 25 marca 1909 roku w Łodzi, w rodzinie ewangelickiego pastora. Wysoki, przystojny, o szaroniebieskich oczach i ciemnych kędzierzawych włosach. Niegdyś dyrygent chóru. Doskonale mówił po niemiecku, holendersku i rosyjsku. Czytał mnóstwo książek, na pamięć znał niezliczoną ilość wierszy, śpiewał, grał na gitarze i skrzypcach. Zwierzył mi się, że uciekł z Donbasu na Ukrainie, gdyż był na czarnej liście.

Nasze szczęście i upragniony spokój nie trwały długo. „O waszego męża pytali – doniosła mi telefonistka. – Nie wiecie? W Leningradzie zabili Kirowa...”.

Postanowiliśmy wyjechać jak najprędzej i jak najdalej, gdzieś, gdzie nas nie znają i nie znajdują. Udaliśmy się do Urgencza, położonego w północno-zachodniej części Uzbekistanu, zabierając ze sobą także moją matkę i siostrę. Po ukończeniu służby wojskowej mieszkał tam i pracował jako zootechnik mój brat Wilmar.

Trudy podróży znosiłam, będąc w ciąży.

Dotarliśmy do Urgencza, udało nam się wynająć mieszkanie: izbę w glińnicy z oknem w sufit. Prędko też znaleźliśmy zajęcia: ja w szkole jako

nauczycielka niemieckiego, mąż zaś w miejskiej piekarni jako księgowy.

14 lutego 1936 roku urodziła się nam córeczka. N adaliśmy jej imiona Anna Wiktoria. Nasza radość nie miała granic. Aneczka była zdrowym i ładnym dzieckiem. Na główkę włożyłam jej białą chusteczkę. „Wygląda jak mała kołchoznica” – pisałam wówczas do mamy ze szpitala. Po kilku dniach przyjechał po nas Eugeniusz. Dwuko łową „karetą” zabrał nas do nowego, lepszego mieszkania. Była to również glinianka, ale w iększa i z normalnymi oknami ściennymi, położona na wzgórzu blisko piekarni.

Po krótkim urlopie musiałam wrócić do pracy. Mama przynosiła Aneczkę do szkoły, bym mogła ją nakarmić. Moi uczniowie krzyczeli wówczas: „*Opa, opa! Oje kiлды! Seneke kizimka džuda czorajlek*” [„Pani, pani! Babcia przyszła! Twoja dziewczynka jest bardzo ładna”].

Nadeszło upalne lato 1937 roku i Aneczka zachorowała. Dosłownie chudła w oczach. Pojechaliśmy całą rodziną do lekarza w Taszkencie. Jego diagnoza brzmiała: paratyfus. Postanowiłam pozostać z córeczką, matką i siostrą w Tasz-



Ania, Urgencz 1936



Maleńka Ania z babcią i rodzicami, 1936

kiencie. Wynajęliśmy mieszkanie w starej części miasta. Gdy nasz gospodarz, Uzbek, zobaczył Anię, pow iedział: „Zaraz przyniosę lekarst wo”. Dostałam owoc granatowca, którego skórkę, wedle recepty Uzbeka, należało zalać trzema szklankami wody i gotować, aż pozostanie jedna szklanka p łynu. Otrzymany w ten sposób wywar podawaliśmy Ani do picia. Wkrótce córeczka zaczęła powracać do zdrowia. Chwała Bogu!

Mąż i brat wyjechali do Urgencza, by po załat wieniu niezbędnych spraw powrócić do nas. Postanowiliśmy bowiem osiedlić się w Taszkencie. Miasto jak na owe czasy było dość zadbane. Szczególnie piękny i obszerny park Puszkina, w którym były mównice jak w londyńskim Hyde Parku. Uzbekowie ubrani w kolorowe, jedwabne chałaty i misternie haftowane czapeczki „ciubiciejki” wyśpiewywali tam miłosne pieśni: *„Oj, opodżon menga kereń syz, džuda czorajlek”* [„Ach, droga pani, patrz na mnie, jest eś bardzo ładna”]. Przy ustach trzymali wtedy porcelanowy talerzyk i obracali nim w różne strony, a odbity od niego głos brzmiał niezwykle, wibrował i docierał na przemian do słuchaczy z różnych stron, by chwilami milknąć zupełnie.

Już w sierpniu 1937 roku rozpoczęłam pracę wykładowc y języka niemieckiego w tamtejszej szkole średniej im. Czapajewa. M ama opiekowała się Anią.

Niecierpliwie wyglądałyśmy przyjazdu Eugeniusza i Wilmara. Niestety, 25 września 1937 roku w Urgenczu mój mąż i brat zostali aresztowani. Przez wiele dni i miesiące żyłam nadzieją, że ich odnajdę, gdziekolwiek byliby uwięzieni. Oczekiwałam wówczas drugiego dziecka. Tak bardzo chciałam usłyszeć dobrą wiadomość o Eugeniuszu. Lecz prokurator obwieścił mi rzecz najokrutniejszą: „Wasz mąż został zesłany na dziesięć lat bez prawa korespondencji z rodziną”. „Za co?”.

Odpowiedzi nie otrzymałam. Nie zezwolono mi nawet na jedno widzenie. O bracie również nie miałam żadnych konkretnych wiadomości.

Nadszedł 28 lutego 1938 roku. Spóźniona karetka pogotowia wiozła mnie do szpitala. Trzeba było ją jednak zatrzymać, gdyż rozpoczął się poród. Niespodziewanie moja matka została po łożną. Urodziłam zdrowego i dużego syna. Otrzymał imię Fryderyk – po teściu. Potem żartowałam, że gdy syn pójdzie do wojska, napisze w życiorysie: „Urodziłem się w Taszkencie na ulicy”. Życiorys w ZSRR musiał być zawsze bardzo dokładny.

I oto dowiedziałam się, że w Moskwie jest biuro, w którym można uzyskać wiadomości o aresztowanych z całego Związku Radzieckiego. Postanowiłam tam jechać. Maluchy pozostawiłam pod opieką mamy i siostry. W Moskwie, oczywiście, niczego się nie dowiedziałam, choć godzinami, w tłumie kobiet z całej Rosji, stałam w kolejce po informacje.

Wracałam pociągiem kompletnie załamana. Sympatyczne konduktorki, częstując mnie herbatą i chlebem, pytały, po co przyjechałam do Moskwy. „Ty nie płacz. Jesteś młoda, a Moskwa nie wierzy łzom. Nie wiesz o tym? Módl się i proś Boga o pomoc. Przyjedź do nas, do Stalińska. Dookoła jest tajga i niedaleko obóz na 18 tysięcy więźniów. Może są tam twoi? Pójdiesz i dowiesz się”.

Postanowiliśmy wszyscy wyjechać z Taszkientu do Stalińska, położonego we wschodniej Syberii, gdzieś między Jenisejem a Obem.

Niestety, Fryderyk zaczął wówczas chorować, zapewne z powodu zbyt upalnego klimatu. W sierpniu 1939 roku zrezygnowałam z pracy i w końcu wyruszyliśmy na Syberię. W miarę oddalania się od upalnych rejonów synek czuł się lepiej, a koło Nowosybirsk zaczął się nawet uśmiechać. Aneczka też była zdrowa. Znajdę męża i brata, pokażę im moje skarby – myślałam.

Dotarliśmy do miasteczka Osinniki w obwodzie nowosybirskim, niedaleko Stalińska, gdzie przyjęto mnie do pracy w szkole średniej. Należało jak najprędzej rozpocząć poszukiwania Żeni i Wilmara. Przygotowałam dla nich paczkę. Specjalną linią kolejową, przez tajgę, dotarłam do końcowej stacji w rejonie obozu, skąd mogłam dojść jedynie do obozowej administracji. Bszukując kancelarii, natknęłam się na obcego mężczyznę, jak się okazało, byłego więźnia obozu. „Odsiedziałem już swoje, sprowadziłem żonę z Krymu i tutaj pracuję. Pomogę pani, przejrzę spisy zesłanych”.

Z wielkim niepokojem czekałam na jakąkolwiek wiadomość od niego i oto dowiedziałam się, że Wilmar jest w ósmej kolonii, a Eugeniusza w obozie nie ma. Natomiast w kancelarii odbyła się krótka, urzędowa (nie patrzono nawet na mnie) rozmowa: „Jeśli wasi są w obozie, to paczkę przekazemy, ale widzenia nie mamy! Wsió!”.

Bałam się nawet otworzyć usta. Po wyjściu spotkałam poznanego wcześniej życzliwego mężczyznę. Przedstawił mi ryzykowny plan przeniesienia brata do bliżej położonej kolonii. Oczywiście za duże pieniądze. Namawiał mnie także na nielegalne widzenie. Również za odpowiednią opłatą. Mogłam na teren obozu zostać wpuszczona jako... pielęgniarka. Dziękowałam Bogu, że tak się nie stało.

Nie potrafiłabym dobrze odegrać tej roli. Być może sama siebie skazałabym na zesłanie.

Kiedy nastąpiła zima, do obozu wyruszyła matka, mając nadzieję na widzenie z synem. W kancelarii obozu usłyszała od starszego mężczyzny: „Matko, wracaj. Widzenia z synem nie dadzą, a paczkę przekażę”.

Nadszedł rok 1940. Jego początek świętowaliśmy w szkole. W dużej sali Ania i Fryderyk patrzyli urzeczeni na olbrzymią, ozdobioną i oświetloną choinkę, słuchali także śpiewu dzieci. W pewnej chwili Ania objęła braciszka i pocałowała go. Panie Boże! Moje sieroty!

Postanowiliśmy, że mama z Fryderykiem i Anią wiosną powrócą do Taszkientu. Było tam więcej żywności, zwłaszcza owoców i warzyw. Przyjemny był również tamtejszy klimat, poza latem, kiedy dokuczał brak deszczu i należało chronić dzieci przed upałami. Ja z siostrą miałam pozostać w Osinnikach do zakończenia roku szkolnego. Jedyną pociechą była myśl, że Wilmar otrzymał od nas paczki, a tym samym wiedział, że odnalazłyśmy go. Pisał o tym później do siostry, kiedy miał możliwość wysłania kilku listów.

Niespodziewanie otrzymałam od matki telegram: „Natychniast przyjeżdżaj. Dzieci chore”. W Taszkencie Ania i Fryderyk zachorowali na szkarlatynę i zostali umieszczeni w szpitalu. Niezwłocznie wyjechałam do matki, pozostawiając w Osinnikach siostrę, która była wówczas uczennicą. Dotarłam do

Taszkientu po pięciu dniach. Gdy weszłam do domu, zobaczyłam tylko Aneczkę. Matka z płaczem wykrztusiła: „Syneczek nie żyje!”.

Krzyk i płacz. Nie potrafiłam wypowiedzieć ani jednego słowa. Aneczka, blada po chorobie, tuliła się do mnie.

Fryderyk zmarł w maju 1940 roku, w dniu, kiedy miał być wypisany ze szpitala wraz z Anią. Matka właśnie przyniosła odzież i kiedy weszła do sali szpitalnej,



Z babcią, mamą i młodszym braciszkiem Fryderykiem



Fryderyk leżał już martwy. Musiała go natychmiast pochować. Wynajęła Uzbeka, który wózkem zaprzęgniętym w osiołka zawiózł trumienkę na cmentarz.

Nie powróciłam już do Osinnik. W róciłam do pracy w szkole, gdzie byłam zatrudniona przed wyjazdem na Syberię. Niespodziewanie też Wie-



Ania z matką, Taszkient grudzień 1937

czorowy Instytut Pedagogiczny w Taszkencie zaproponował mi prowadzenie zajęć z leksyki, fonetyki i gramatyki języka niemieckiego. Nie chciałam przyjmując tej pracy, bałam się zwracać na siebie uwagę. M oże wiedzą, że szukam po łagrach swoich bliskich i chcą mnie mieć na oku? – m yślałam. Matka jednak namówiła mnie i od września 1940 roku uczyłam również w Instytucie. Niedługo potem zatrudnił mnie jako lektorkę niemieckiego uniwersytet w Taszkencie. Rozpoczęłam także przygotowania do aspirantury i kurs angielskiego.

W wynajętym od życzliwych i uśmiechniętych Uzbeków mieszkaniu czułyśmy się bezpiecznie. Wszystko było lub wydawało się być z gliny: dom, nawierzchnia podwórza, ogrodzenie posesji. I dąc ulicą, wzdłuż której nieprzerwanie ciągnęły się mury zwane „duwałami”, miało się wrażenie, że to wędrownica przez wąwóz.

Wracałam kiedyś do domu wąskimi uliczkami, pełna najgorszych obaw. Przedemną wolno jechał samochód, którego nie mogłam wyminąć, obok siedział mężczyzna w skórzanej płaszczu. Podążali w naszym kierunku. Byłam przerażona. Ominęli jednak nasz dom. Od kiedy nie miałam wieści o Eugeniuszu, żyłam w ciągłym strachu. Sił dodawała mi matka, a moją wielką radością była malutka i spokojna Ania. W jej piąte urodziny poszłyśmy do sklepu z zabawkami – z radości Ania pocałowała mnie w rękę... i wybrała tylko jedną zabawkę.

Polski student Władysław Krauze ostrzegł mnie przed aresztowaniem. A więc nieszczęście nie śpi. Zawsze mnie znajdzie – pomyślałam. Pojawiły się obawy: co będzie z Anią, mamą i siostrą? Zazwyczaj dzieci w takich sytuacjach



odłączano od matek i przekazywano do domów dziecka, zmieniając im nawet imiona i nazwiska.

W styczniową noc 1942 roku zbudziło mnie łomotanie do drzwi. Otrzymałam powiadomienie o likwidacji naszego meldunku i wysiedleniu. Ania z mamą były akurat w Ferganie i – z braku biletów kolejowych – nie mogły y do mnie natychmiast wrócić. W drodze do Taszkientu przeżyły straszne chwile. „Nie wolno, nie wolno!” – krzyknęła konduktorka, gdy matka z Anią chciały wejść do pustego wagonu. Pociąg właśnie ruszał, a one stały na stopniach. „Ja muszę, nas wysiedlają” – powiedziała wówczas matka. Siedzące w pustym wagonie konduktorki otworzyły drzwi...

Wagonami towarowymi wywieziono nas za Bucharę, do powiatu Rometan. Zamieszkałyśmy w ziemiance. Z obcymi ludźmi. Nie miałam pracy. Nie było co jeść. Mamie udało się sprzedać resztki bielizny pościelowej za szklanke kaszy... a kiedy zatrudniono mnie w odległej o 15 kilometrów szkole, okazało się, że uczniowie, tak jak i ich rodzice, nie znali rosyjskiego, natomiast ja nie rozumiałam uzbeckiego. I znowu byłam bezrobotna.

Aneczka zachorowała. Siedziałam przy niej i czytałam bajki. „Mamoczka, czytaj, tylko czytaj” – prosiła Ania. Myślę, że w taki sposób zapominała o głodzie.

W Rometanie o mało nie zginęła moja siostra, gdy odmówiła współpracy z NKWD. Cyniczny enkawudzista chciał ją wówczas zastrzelić na śmietniku w podwórzu. Siostra jednak, sparaliżowana strachem, w ostatniej chwili zdołała wybiec na ulicę. Natychmiast wyjechała z Rometanu. Dotarła do Buchary. Tamtejszy o cer, Uzbek, zezwolił jej przenieść się do Urgencza, gdzie zaczęła pracować na lotnisku.

Mojej siostrze udało się wreszcie ustalić, co się stało z Eugeniuszem i Wilmarem w Urgenczu. Mojego męża Żenię spotkał los najtragiczniejszy. W 1938 roku został rozstrzelany i pochowany we wspólnej mogile. Niewiarygodny był powód jego aresztowania – miejsce urodzenia: P olska. Wilmara przesłuchiwano aż 82 godziny, bezskutecznie namawiając do podpisania zeznań szpiega. Zesłany na Syberię, został następnie przeniesiony w rejon Archangielska, do obozu w Kotlas.

Ja również, za namową matki, opuściłam Rometan. U ciekłam z Anią do wsi Orłówka w Kirgizji, gdzie mieszkali potomkowie holenderskich imigrantów. Dostałam pracę w szkole. Wszędzie jednak panowała straszna bieda i głód.

W Orłówce poznałam Polaka, Hermana Bernera. Pomagał nam przetrwać najcięższe chwile, dzieląc się tym, co sam dostawał. Pobraliśmy się 4 kwietnia 1942 roku. Jednak już w grudniu zmobilizowano mnie do „trudarmii”, czyli do pracy przymusowej. Czym prędzej wraz z Anią musiałam stawić się w Leninpolu, siedzibie rejonu. Znowu ogarnęła mnie rozpacz. Nie ma przy mnie matki. Co będzie z Anią? – myślałam. Dano mi mały wózek, na którym posadziłam córeczkę, i tak powędrowałyśmy do rejonu, w którym zastałam tłumy kobiet pod eskortą konnej milicji. Aneczka, ubrana w beżowy płaszczyk, zaśpiewała wówczas smętną piosenkę: „*My prostimsia s toboj u poroga i byt' mozet na vsiegda*”. [„Żegnamy się z tobą na progu, być może już na zawsze”]. „O czym to dziecko myśli? Boże!” – westchnęłam.

Wkrótce rzeczywiście musiałyśmy się rozstać. Córeczka trafiła na szczęście pod opiekę znajomej. Gdy żegnałyśmy się, Ania strasznie płakała i krzyczała. Do dzisiaj to pamiętam i brakuje mi słów, by o tym pisać.

Mnie wraz z innymi kobietami odtransportowano do Uzbekistanu, do stacji Czimion, gdzie pracowałam przy budowie drogi. Dzięki życzliwości i wyrozumiałości lekarza udało mi się powrócić do Orłówki, gdzie czekała już Aneczka, przywieziona przez jej opiekunkę, oraz mama i Herman.

Mąż wkrótce wyjechał, by wstąpić do 10. Worzonego w ZSRR wojska polskiego. Żegnaliśmy się, nie przeczuwając, że więcej się nie spotkamy. Herman zaginął na wojnie.

Żyliśmy wówczas w biedzie tak strasznej, że odważyłam się ukraść z kołchozowych pól trzcinę na opalenie zimnego pokoju, w którym mieszkaliśmy. Mama piekła wtedy placuszki z otrębów. Mnie udało się wymienić zapas zeszytów – papier był towarem de cytowym – na odzież. O dtąd wojskowy szynel służył mi za płaszcz.

Jesienią 1943 roku Ania poszła do pierwszej klasy. Wkrótce jednak zachorowała. Lekarz, Karaczajec przesiedlony z Kaukazu, zalecił zmianę miejsca zamieszkania z powodu klimatu. Chciałyśmy powrócić do T aszkientu, ale ostrzeżono mnie, że to grozi aresztowaniem, gdyż obowiązywał zaostrzony system kontroli dokumentów. Pozwolono nam osiedlić się w niedalekim Dżambule, położonym tuż za granicą, w Kazachstanie. Pracowałam jako nauczycielka języka niemieckiego.

W 1944 roku niespodziewanie dotarła do nas wiadomość o śmierci Wilmara. Zmarł na gruźlicę 25 grudnia 1943 roku w obozie koło Kotlas. Został pochowany w zbiorowej mogile, której nigdy nie było mi dane odwiedzić.

Koniec wojny zastał nas w Dżambule. Jako żona Polaka złożyłam wraz z matką dokumenty repatriacyjne. Boże, jak się cieszył yśmy z otrzymania pozwolenia na emigrację. 30 marca 1946 roku wręczono nam zaśw iadczenia umożliwiające wyjazd do Polski na stały pobyt. I znowu na stacji czerwono-bure wagony towarowe. Tym razem wsiadałyśmy do nich z radością i już 5 maja jechałyśmy do nowej ojczyzny. Na granicy, po stronie sowieckiej, usłyszałam: „Wy jeszcze zobaczycie, że tam nie jest tak dobrze”.

Milczałam. Wiedziałam swoje: jesteście wolne.

W Polsce zamieszkałyśmy początkowo w Szczecinie-Stołczynie, skąd w lipcu 1946 roku wyjechałyśmy na Dolny Śląsk, do Nowej Rudy. Dopiero w 1949 roku przeniosłyśmy się do Wrocławia, gdzie z łatwością mogłam otrzymać pracę lektora języków obcych. Ania mówiła już wtedy płynnie po polsku.

## ALEKSANDER ŻYGARIOW

Dziennikarz, autor pierwszej biogra i Anny German

Za oknem pociągu – Polska. Ania siedzi na wprost mamy i babci. Patrzy przez okno. Jeszcze kilka miesięcy temu nie przypuszczała, że opuści rodzinny Uzbekistan.

Dwa miesiące po Dniu Zwycięstwa przyszedł list: „Szanowna pani Irmo, jako frontowy towarzysz pani męża uważam, że pow inieniem powiadomić o tym, co się wydarzyło. Herman nie wrócił z bitwy pod Lenino w październiku 1943. Nie znaleziono także jego ciała. Bardzo lubiłem pani męża, przywiązałem się do niego. Dużo mi opow iadał o pani i pani córce. Mówił też, że po wojnie chcecie przyjechać do P olski, do Warszawy. Wyobrażam sobie, co pani t eraz czuje! Słowa pocieszenia byłyby bezsensowne.

Jeśli zechce pani zamieszkać w ojczyźnie swego męża, może pani liczyć na moją pomoc. Ludwik Kowalski, porucznik, Kraków”. Dalej był adres. I dopisek: „Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że Herman żyje i że zatańczymy jeszcze u was na chrzcinach”.

Ten list – jak później wspominała Irma – ostatecznie wpłynął na jej decyzję przyjazdu do dalekiej i obcej Polski.

Dziewczynka zaczęła właśnie dziesiąty rok życia. O wojnie i zniszczonych miastach wiedziała niewiele. To, co zobaczyła, wstrząsnęło nią. Warszawa leżała



Ania uczennica

w gruzach. Na placu przy dworcu podszedł do nich nieogolony mężczyzna: „Co, paniusie, macie? W ódkę, kiełbasę, masło? Mogę was zaprowadzić na nocleg”. Nie miały ani wódki, ani tym bardziej kiełbasy czy masła, więc spekulant poszedł szukać innych klientów.

Nocowały na dworcu. Rano Irma poszła do komendanta. Pokazała dokumenty: „Szukam męża zaginionego podczas wojny. Mieszkał kiedyś na Długiej 7”. „O losie pani męża nic nam nie wiadomo. Ma pani kogoś w Warszawie? Zresztą, to nie ma znaczenia. Sama pani widzi, jak tu u nas z mieszkaniami, same ruiny. Jest tylko jedno wyjście: jako żona polskiego żołnierza otrzyma pani skierowanie na Ziemię Zachodnią. Tam dostaniecie mieszkanie, żywność i pracę”.

Ania szybko nauczyła się polskiego. Już trzy tygodnie po przekroczeniu granicy mówiła tak, jakby polski był jej ojczystym językiem.

Pewnego dnia matka oznajmiła radośnie: „No, Aniuta, od jutra będziesz żyła jak wszystkie dzieci. Pójdiesz do szkoły!”. Ania podniosła na nią zdziwione oczy: „Do szkoły? Czy to prawda?”.

Trzecioklasiści powitali nową koleżankę zyczliwie. „Skąd jesteś?” – spytał piegowaty rudzielec w białej nakrochmalonej koszuli i w śmiesznych krótkich spodenkach na szelkach. „Ja jestem ze Lwowa”. „A ja z Urgencza”. „Gdzie to jest?” – zainteresował się chłopczyk. „Bardzo daleko – zaśmiała się Ania – stąd nie widać”.

Mijały miesiące. Wiadomości o losie Hermana nadal nie było. Irma pisała do Biura Politycznego Wojska Polskiego, do ministra obrony narodowej. Kilka razy jeździła do Warszawy, chcąc spotkać się z kolegami męża, lecz nie mogła ich odnaleźć.

Kiedy Irma otrzymała list z Ministerstwa Obrony Narodowej, nie krzyknęła, nie zaczęła płakać, tylko usiadła przy stole, podparła głowę i zapatrzyła się w przestrzeń. List potwierdził dawno przeczuwaną prawdę, w którą jednak nie mogła uwierzyć. Jedynie nadzieja trzymała ją przy życiu i dodawała sił. „Jak szczegółowo zbadano – pisano – mąż pani poległ śmiercią bohatera pod Lenino w 1943 roku. Na zawsze wszedł do historii naszego narodu. Jest przykładem polsko-radzieckiego braterstwa”.

Mieszkały teraz we Wrocławiu, w starym ciemnym domu z końca XIX wieku. Słabo ogrzewanym, z wieloma sąsiadami, przeważnie przesiedleńcami ze Wschodu. Lubili rodzinę Ani, czasami zapraszali na niedzielny obiad. Nakrywali stół czystym obrusem, stawiali ziemniaki, kiszzone ogórki, kładuny, wódkę. Takie spotkania kończyły się zawsze wspólnym śpiewaniem. Śpiewano piosenki, które kiedyś słyszała od ojczyma. Ania milczała. Myślała, że swoim śpiewaniem będzie przeszkadzać sąsiadom.

W kamienicy mieszkał pan Jurek, który nigdy nie był na tych przyjęciach. Grał w orkiestrze w restauracji, często zaczynał pracę po północy. Ania czasami odwiedzała go w jego małej, zagraconej komórce, pośrodku której stało rozstrojone pianino.

„Chcesz, zaśpiewam ci?” – pytał pan Jurek. I nie czekając na odpowiedź, przymknąwszy oczy, nucił cichutko. „Aby śpiewać, trzeba mieć dobre serce i wspaniałe słuch. Trzeba też kochać śpiew i wierzyć w sens wypowiedzianych słów. A nasza pani Lucyna nie ma ani głosu, ani serca, ani duszy. I śpiewa... To skandal”.

Ania nie wiedziała, kiedy pan Jurek żartuje, a kiedy mówi poważnie. „Lubisz muzykę? – pytał. – Jak można jej nie lubić, prawda? Gdyby nie wojna, mógłbym zostać drugim Paderewskim. Uczyłbym się w konserwatorium, grał Bacha, Chopina, Mozarta... a teraz już za późno. Muzyki trzeba się uczyć w dzieciństwie”.

Czy Ania lubiła muzykę? Gdy miała pięć lat, matka zabrała ją na koncert znanego pianisty. Ania siedziała jak zahipnotyzowana, nie odrywając oczu od artysty. Śledziła każdy jego ruch.

Później, po koncercie, prosiła matkę o kupno pianina. Ania rzadko prosiła o cokolwiek, więc Irma potraktowała tę prośbę bardzo poważnie. Zaprowadziła córkę do znajomej nauczycielki muzyki. Tam, przysłuchawszy Anię, uśmiechnęła się: „Trzeba ją uczyć, bo ma słuch absolutny”.

Ania zaczęła brać lekcje muzyki. Ćwiczyła z wielkim oddaniem, ale wybuchła wojna i... zapomniano o muzyce.





Któregoś dnia pan Jurek posadził dziewczynkę na taborecie przy pianinie. Ania spróbowała jednym palcem ułożyć melodię. „Zuch z ciebie! – pochwalił pan Jurek. – Masz znakomity słuch... Zajmiesz u nas miejsce Lucynki. Będziesz gwiazdą!”

Kim być? To pytanie po raz pierwszy zadała sobie w ósmej klasie i stwierdziła ze smutkiem, że nie w niej. Uczyła się dobrze, ze wszystkich przedmiotów miała świetne oceny. Stawiano ją za wzór innym. Na zebraniach wychowawczynie powtarzała: „Ania German żyje w trudnych warunkach. W jej mieszkaniu nie można nawet postawić stołu, a spójrzcie, proszę, zawsze jest przygotowana”.

W tym czasie Irma pracowała już w szkole. Życie stało się łatwiejsze.

Zostanę nauczycielką jak mama – myślała Ania. – Nie, nie jestem taka cierpliwa, nie mam takiej silnej woli.

Wielokrotnie widziała, jak matka wstaje w złym nastroju, z bólem głowy, ale na lekcjach musi się przeobrazić w opanowaną, dobroduszną i spokojną nauczycielkę.

Znajoma posadziła Anię przy maszynie do szycia. Szyciem można by zarobić więcej od matki, a przede wszystkim nauczyć się kroju i szyć dla siebie i bliskich...

Ania coraz częściej myślała o przyszłości. Szczególnie gdy w wieku piętnastu lat błyskawicznie, w ciągu kilku miesięcy, wystrzebiła w górę. Chłopcy zaczęli żartować: „Aniu, sięgnij po tego wróbelka! Mówią, że chcesz pracować na drabince strażackiej”.

Zrozumiała, że nie powinna się obrażać, tylko drwić ze swego wzrostu, obracać w żart każdą aluzję i przykre docinki kolegów. Przyzwyczyła się do tego, że chłopcy nie proszą jej do tańca, nie umawiają się na spotkania.



Z koleżanką w Szklarskiej Porębie

Na pewno całe życie będę musiała spędzić z mamą i babcią! – rozmyślała. – Komu potrzebny taki drab?!

Tak bardzo chciała być szczęśliwa i kochana. Za wzór stawiała sobie ulubione bohaterki literackie: Tatianę z *Eugeniusza Oniegina* i Annę Kareninę. Poemat Puszkina знаła po rosyjsku i zachwycała się mistrzowskim przekładem Juliana Tuwima. Ale gdzie ten Oniegin, który przybiegnie do niej przez zaułki starego Wrocławia? Gdzie Wroński, który na ławce naprzeciw ratusza będzie jej szeptać miłe słowa? A jeśli szczęście nie przyjdzie? To i tak trzeba robić coś sensownego w życiu.

Anna złożyła dokumenty do wrocławskiej Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych. Szczupły profesor długo i uważnie oglądał jej prace.

„Od dawna pani rysuje?” – spytał. „Dokładnie nie pamiętam” – odpowiedziała zawstydzona. „Taka jest dziewczęca pamięć – powiedział profesor obojętnie. – Jak na początek zupełnie niezłe – zakończył. – Wprawdzie brak techniki, ale nie miała pani nauczyciela profesjonalisty”.

Ania wybiegła ze szkoły szczęśliwa, wierząc, że zostanie malarką. Tyle czytała o życiu i twórczości Rembrandta, van Gogha, Picassa, Chagalla... Ania lubiła rysować znajome taras i ulubione miejsca starego Wrocławia: rynek, ratusz, kościół św. Anny.

Wróciła do domu pełna wiarą w siebie i swój wybór. Krótka, zwyczajna rozmowa z matką zniszczyła jej marzenia. „ Czy wiesz, Aniu, co to takiego bieda?” – cicho spytała matka. „ Wiem, mamusiu”. „Masz dziewiętnaście lat. Można powiedzieć: panna na wydaniu. A my ciągle nie mamy własnego mieszkania. Masz jedną wyjściową sukienkę. Jesteś już dorosła i wiesz, że pragnę dla ciebie szczęścia. Chcesz zostać malarką. Oczywiście, będę ci pomagała... Ale co potem, po skończeniu nauki? Czy myślisz, że twoje prace będą się podobać? Przypomnij sobie, ilu wielkich mistrzów żyło i umarło w nędzy! Uznanie przychodziło dopiero po śmierci...”.

Irma mówiła długo, ale Ania już jej nie słuchała. Myślała o zawodzie, który mógłby zapewnić jej normalne życie.

Została studentką geologii Uniwersytetu Wrocławskiego. Na trzecim roku Anna zapisze w swoim dzienniku: „Geologia, jak wiadomo, jest nauką o Ziemi. Ale nie tylko o jej budowie, lecz także o jej wnętrzu. Aby zrozumieć procesy zachodzące w sercu wulkanów, na dnie oceanów i jeszcze głębiej, trzeba dobrze znać procesy zachodzące na powierzchni Ziemi, dotyczące samego człowieka, który, jak wiadomo, jest częścią przyrody, Ziemi i ma wielki wpływ na jej kształt.



# „Śpiewająca Eurydyka” „Biały Anioł polskiej piosenki” „Słowik Neapolu”

Kto raz usłyszał *Tańczące Eurydyki*, nigdy nie zapomni głosu Anny German. W Polsce pamięć o artystce przygasła. Do niedawna prawie nieobecna w mediach, bardzo popularna we Włoszech, Stanach Zjednoczonych, Japonii, w krajach byłego bloku wschodniego jest postacią kultową. W Rosji i na Ukrainie do dziś mówią o niej „nasza Anuszka”. Wielbiona i czczona, ma swoją gwiazdę w moskiewskiej alei gwiazd, jej imieniem nazwano asteroidę, rosyjską odmianę powojnika, ulicę w Uzbekistanie; piosenka zatytułowana *Nadzieja (Nadieżda)* była hymnem radzieckich kosmonautów i wspierała rodziny marynarzy okrętu podwodnego Kursk. W Rosji wciąż jest królową, nawet dla młodych ludzi. Miała szansę na światową karierę. Jako pierwsza Polka wystąpiła w paryskiej Olimpii. Śpiewała w siedmiu językach, na czterech kontynentach.

Kobieta z klasą – piękna, subtelna, świetnie ubrana, serdeczna, wyrozumiała, łagodna – nie lubiła mówić o sobie. Zdobywała laury na festiwalach w Opolu i Sopocie. Po festiwalu w San Remo, u progu międzynarodowej kariery, w sierpniu 1967 roku uległa wypadkowi samochodowemu. Cudem przeżyła. Zakuta w gipsowy pancierz, długie tygodnie walczyła o powrót do zdrowia i śpiewania. Zaczęła pisać, komponować. Zaskoczyła męstwem, optymizmem, siłą woli. Wróciła i zaśpiewała *Człowieczy los*.

Książka Marioli Pryzwan to biografia złożona ze wspomnień bliskich, przyjaciół, współpracowników pieśniarki. Traumatyczne dzieciństwo opowiedziane przez matkę, droga do muzycznej kariery – przez przyjaciół z lat młodości i sceny, tragiczny wypadek i rehabilitacja – przez lekarzy, historia miłości – przez męża i przyjaciół rodziny.

Prawdziwe wydarzenia – nie zawsze wiernie oddane przez film, jeszcze ciekawsze i bardziej przejmujące niż serial – wzbogacone zostały reprodukcjami ponad 300 zdjęć i dokumentów.

cena 44,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)

